


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



CLAUDE FARRÉE

**KORSARZ
Z
SAINT-MALO**

Powieść

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

KSIĘGA PIERWSZA

GNIAZDO ORLÓW

I

W południe, gdy zabrzmiał dzwon na Anioł Pański, daleko na morzu rozległ się huk działa, a straż wieży Notre-Dame sygnalizowały, że z północnego zachodu zbliża się do redy korsarska fregata. Nie było w tym wydarzeniu nic nadzwyczajnego. Mieszkańcy Saint-Malo często mieli okazję oglądać powracające z wojennych potyczek okręty. Zanim fregata minęła forty Collifichet i Eperon, na nabrzeżu zebrał się tłum. W większości była to zbieranina próżniaków, których najmilszym zajęciem było gapienie się z założonymi rękami, bez trudu i ryzyka, lecz znajdowali się tam również marynarze, zawsze gotowi wyrazić swą rzeczową opinię na temat manewrów kolegi po fachu, a także bogaci mieszczenie, armatorzy i dostawcy, honorowi mieszkańcy dumnego miasta, ryzykujący na morzu swoją fortunę i los. Najruchliwszą i najgłośniejszą część tłumy stanowiły jednak rodziny marynarzy, ich kobiety: matki, siostry, żony i narzeczone oraz dzieci, o bladych policzkach i niespokojnych oczach. Wśród tych ostatnich właśnie podniósł się namiętny i pełen niecierpliwości krzyk, gdy wielka reja fregaty, niczym długa kolubryna, wyłoniła się spoza Eperonu, łącząc się z działami, których spizowane lufy jeżyły flank granitowego bastionu. W chwilę później ukazał się biały żagiel i fregata wyszła z przesmyku.

Wówczas jeden z grupy bogatych mieszczan zwrócił się do swego sąsiada, grubego armatora w prostym szarym ubraniu, o rumianej twarzy pod okrągłą peruką:

– Panie Gravé, czy mnie wzrok nie myli?! To chyba pańska „Wielka Tyfena”!

Julian Gravé” wytrącony nagle ze stanu błogiej obojętności, pochylił się, zmarszczył czoło, mrużąc i tak już bardzo małe oczy.

– Pan raczy żartować, Danycan. Moja „Wielka Tyfena” ma o jakieś dwadzieścia stóp wyższe maszty od tych, do których cieśla najwyraźniej przyciął zbyt krótkie drzewa.

Lecz Danycan, wysoki, tęgi, o wyniosłym spojrzeniu mężczyzna, którego szpada unosiła pięknie obszytą galonem połę z delikatnego sukna, w pludrach według ostatniej mody, uśmiechnął się tylko i rzucił:

– Przyjrzyj się pan temu okrętowi uważnie! To na pewno kule Ruytera¹ tak go urządziły.

Był rok 1672. Groźne eskadry holenderskich okrętów walczyły na Morzu Północnym, w kanale La Manche, na Atlantyku i nawet na Morzu Śródziemnym. Wprawdzie król Ludwik XIV wygrał bitwę w Niderlandach, we Flandrii i także za Renem, a zwyciężona, spustoszona, zalana wodą Republika Zjednoczonych Prowincji Niderlandów na lądzie była pozbawiona znaczenia, jednak na morzach stanowiła nadal siłę, której nie można się było skutecznie przeciwstawić. I jakkolwiek pan Colbert, jak mówiono, pracował dzień i noc, aby dać królestwu flotę, nie osiągnął dotychczas niczego. Dlatego w tym czasie rzemiosło korsarskie było zawodem jak nigdy niebezpiecznym, i często drożej kosztowało złupić towar na nieprzyjacielskim okręcie, niż spokojnie kupić to samo na rynku.

¹ M.A.Ruyter, admirał holenderski, odnoszący na morzu wiele zwycięstw w wojnach Holandii z Anglią i Francją. Śmiertelnie ranny w bitwie pod Agostą w 1676 r. (przyp. red.).

Zaniepokojony armator Julian Gravé, uważnie badał wzrokiem fregatę, która właśnie okrążyła Ravelin².

– To mój okręt – jęknął nagle. – Na Boga! W jakim on jest stanie?!

„Wielka Tyfena” okrążyła Ravelin i kierowała się na Dobre Morze³ odsłaniając w całej okazałości swoją lewą burtę. Wśród zebranych na nabrzeżu przebiegł szmer zgrozy. Porozdzierana, porąbana, pocięta burta ta przypominała raczej koronkę, przez której otwory fale z łatwością mogły się wedrzeć do wnętrza, stwarzając ogromne niebezpieczeństwo dla ładunku, a nawet i samej fregaty.

– Niech zaraza wydusi te holenderskie szczury – syknął poblądły armator zaciskając pięści.

Nie ulegało wątpliwości, że fregata musiała znaleźć się w nie lada opałach i było mało prawdopodobne, aby cieśle kiedykolwiek zdołali doprowadzić ją do porządku. Z jakiej strony by się na nią nie spojrzano, wszędzie znaleźć można było wielkie dziury od kul i kartaczy – i zaiste wspaniała była ta walka, z której fregata wyszła zwycięsko. Na jej masztach powiewały flagi korsarzy z Saint-Malo – niebieskie z białym krzyżem i biegnącą srebrną łasicą na szkarłatnym polu. Największa z nich, wywieszana podczas bitwy, nie uniknęła brutalnej pieszczoty ognia i kul nieprzyjaciela, które uczyniły z niej koronkę niczym kunsztowny wyrób z Alençon.

Na fregacie, kiedy już minęła Stare Nabrzeże, rozpoczęto przygotowywać się do kotwiczienia i powoli zwijano żagle. Do zgromadzonego na nabrzeżu tłumu dobiegł donośny głos kapitana, a po chwili można było ujrzeć jego sylwetkę na pokładzie kasztelu rufowego.

– Tomasz Trublet?!... – podawano sobie z ust do ust z niemałym zdziwieniem.

Naraz Julian Gravé, rozepchnął brutalnie ludzi, torując sobie drogę. Nic nie rozumiał. W spisie załogi, który jako armator podpisał kilka tygodni temu, Trublet nie figurował jako kapitan ani nawet jako porucznik...

Tymczasem na nabrzeżu zapanowała napięta cisza. Na „Wielkiej Tyfenie” zwinięto marsle, grot- i fokżagiel, a po chwili rzucono kotwicę. Wówczas w ciszę tę wdarł się pierwszy żaloszny płacz.

– Panowie – zwrócił się armator do otaczających go notabli – czy zechcecie towarzyszyć mi jako świadkowie? Muszę powitać kapitana, a następnie wobec oficera Admiralicji złożyć raport z wypadków, jakie miały miejsce.

Przez furtę przy Croix du Fief i ulice Beurrerie, Orbettes skierowali się do Wielkiej Bramy, podczas gdy rozpetane teraz na nabrzeżu krzyki i lamenty nie po raz pierwszy ogłaszały całemu miastu żalobę po stracie korsarzy z Saint-Malo.

II

Na piaszczystym wybrzeżu na północ od Ravelinu zatrzymała się szalupa z dwoma wioślarzami. Tomasz Trublet zręcznie zeskoczył na ląd i skierował się w stronę miasta. Tuż przed wejściem pod sklepienie Wielkiej Bramy zatrzymał się, wznosząc oczy do góry. Ponad jej łukiem od strony morza rozciągała swoje spżżowe ramiona postać Chrystusa. Tomasz zdjął kapelusz, uklonil się nisko, po czym przestąpił próg miasta. Na stopniach wiodących do sali zgromadzeń oczekiwał go Julian Gravé w otoczeniu innych armatorów. Panowie, wśród których znajdował się również Danycan, przyglądali się marynarzowi z zainteresowaniem. Jego szeroką, teraz poblądłą twarz przecinała od ucha do środka czoła jeszcze świeża blizna, rękę pokrywały bandaże. Te widome oznaki przeżytych ciężkich walk dodawały majestatu jego z

² Duży bastion, dziś już nie istniejący, który osłaniał Wielką Bramę od ataków morza (przyp. aut.).

³ Dobre Morze (*La Mer Bonne*) stanowiło właściwy port Saint-Malo (przyp. aut.).

natury wielkiej i tęgiej postaci. I jakkolwiek Tomasz Trublet był bardzo niskiego pochodzenia i miał jedynie tytuł bosmana najędźniejszej fregaty – Julian Gravé, bogaty właściciel dwudziestu innych potężniejszych statków odkrył głowę, aby go przywitać.

– Tomasz Trublet, niech nas Bóg ma w swojej opiece! Oto wracasz dzięki Opatrzności... – zaczął zgodnie ze zwyczajem, od którego nikt nie śmiałyby odstąpić. – Lecz wyjaśnij łaskawie, co się właściwie zdarzyło?! – zakończył nie kryjąc zniecierpliwienia i wsparł pięść na biodrze.

Pióra jego pilśniowego kapelusza dotykały ziemi, podczas gdy Tomasz kołysał w potężnej dłoni okrycie głowy, którego całą ozdobę stanowiły dwie długie wstążki marynarskie. Przez chwilę panowało milczenie.

– Nic szczególnego, panie... – wydusił wreszcie Tomasz i przełknął ślinę. Wymowa była widocznie słabą stroną marynarza nawykłego raczej do czynu. – Nic szczególnego... – powtórzył, głęboko wciągnął w płuca powietrze i nagle wyrzucił: – Nic szczególnego poza tym, że natknęliśmy się na podłego psa holenderskiego, że zakatrupiliśmy go jak należy... i że kapitan Wilhelm Morvan, porucznik Ives le Goffic oraz siedemnastu z załogi zginęło... Oto wszystko.

Trzymany w ręce skórzany kapelusz z długimi wstążkami, wykonawszy dwa pokłony – dla każdego z wygłoszonych nazwisk – powrócił na rozczochrane, kędzierzawe rude włosy Tomasza Trubleta. Teraz kiedy już uczył pamięć zmarłych, Tomasz nie widział powodu, aby się kłaniać żywym.

– Opowiadaj! – rozkazał armator. – Co to był za holender?

– Podły pies, panie! Wilhelm Morvan dał się przekonać, że to statek kupiecki, ponieważ jego działa ukryte były podstępnie pod płótnem żaglowym. Po czym kiedy zbliżyliśmy się do nich na jakie dwa strzały z muszkietu, ściągnęli liną płótno i dali salwę.

– No, a wtedy?

– Wtedy o mało co nie nastąpiła katastrofa, bo nasze działa nie były nabite, z wyjątkiem dwóch armatek pościgowych. Poza tym holender był wyposażony w dwadzieścia cztery osiemnastofuntowe działa przeciwko naszym ośmiu, pozostałym z dwunastu.

– Mów dalej – zachęcił armator.

– Doznaliśmy wielu uszkodzeń w takielunku i pod pokładem. Biegałem w szalonym śpiechu do dział, aby je nabijać i odpalać. W pewnej chwili holender dał w naszym kierunku dwie salwy tak celnie, że z wielu naszych żagli pozostały strzepy, a marynarze zaczęli w panice uciekać pod pokład, aby tam szukać schronienia. A jeden łotr... nazwiska nie wymienię, aby nie sprowadzać hańby na jego rodzinę, która jest z Saint-Malo... otóż ten łotr chciał poddać nasz okręt i w zamęcie schwycił linkę bandery, aby ją ściągnąć. Podbiegłem i stanowczo mu to wyperswadowałem – kulą prosto w łeb...

– Słusznie. A potem?

– Przyszła na mnie kolej objąć komendę. Wilhelm Morvan i Ives le Goffic padli. Holender nie przestawał prażyć ogniem prosto w nasz kadłub, co mógł czynić z łatwością, mając podwójną liczbę dział. To nie potrwałoby już długo... Podeszedłem więc do niego, manewrując tylko sterem, gdyż pozostałem na pokładzie sam, i ustawiłem się burta w burcie. Wówczas nie omieszkałem wywołać załogi na pokład...

– W jaki sposób? – przerwał Julian Gravé.

– Granatami, do wszystkich diabłów! Rzuciłem je pod pokład! – zaspokoił ciekawość armatora Tomasz. – No, a wtedy chłopcom zrobiło się na dole gorąco, wybiegli tak wściekli, że nie było problemu przeprowadzić ich na nieprzyjacielską fregatę... Bombardierzy holendra okazali się mało sprytni i nadal tkwili przy swoich działach, tak że do walki służyły im tylko wyciory armatnie. Szybko zrobiliśmy z nimi koniec – dodał z satysfakcją.

– Gdzie jest zdobyta fregata?

– Zatopiona, panie. Za mało było marynarzy, aby ją brać na hol. Mieliśmy siedemnastu zabitych i czterdziestu pięciu rannych, z czego połowa doznała bardzo ciężkich okaleczeń. Zresztą zdobycz nie była wiele warta.

– Wzięliście jeńców? – zapytał jeszcze armator.

– Nie, panie. To było niemożliwe... Chłopcy wstydzili się swego poprzedniego strachu... nie było więc sposobu utrzymać przy życiu ludzi, którzy byli świadkami tego, że marynarze z Saint-Malo uciekli pod pokład przed nieprzyjacielem. Co do mnie, to kiedy holendra już zatopiliśmy, nie patrzyłem na jego załogę, zdaje się, że zbili niewielką tratwę... A zresztą oni dobrze pływają, te szczury holenderskie – zakończył Tomasz i wybuchnął śmiechem tak zaraźliwym, że otaczający go armatorzy również zaczęli się śmiać. Jedyne Julian Gravé zachował poważny wyraz twarzy, dla formy oczywiście.

W ten sposób problem jeńców został rozstrzygnięty raz na zawsze i kiedy już zapanowała cisza, Julian Gravé odezwał się znowu:

– Spisałeś się dzielnie. Teraz pójdziemy złożyć raport w Admiralicji. Mam nadzieję, że nie potrwa to długo, trzeba przecież jak najszybciej godnie uczcić naszych zwycięskich chłopców. Później chciałbym z tobą pogadać.

Ruszyli gromadą i minąwszy wysokie sklepienie między dwiema wieżami weszli na bruk uliczny. Wtedy Tomasz Trublet zatrzymał się i skierował spojrzenie w stronę Wielkiej Bramy. Na wzór postaci Chrystusa ze spiżu zwieńczającej jej sklepienie od strony portu – postać Najświętszej Panny z granitu wznosiła się ponad sklepieniem twarzą do miasta. I Tomasz głęboko wierzył, że ta Najświętsza Panna Wielkiej Bramy, zwana również Matką Boską Nieustającej Pomocy, dokonała więcej cudów koniuszkiem małego palca, niż dokonali lub dokonają ich wszyscy święci głośnych miejsc cudownych ze wszystkimi swoimi najświetniejszymi relikwiami...

III

Wąska i kręta ulica Garbarska tonęła w mroku, minęła dziesiąta i dzwon Noguette na wieży Wielkiej Bramy dawno już oznajmił czas gaszenia świateł. Nie wszyscy mieszkańcy Saint-Malo przejmowali się tym, wielu włączyło się po nocach, lekceważąc prawa i zakazy co raz to ogłaszane przez biskupa i garnizon miejski. Najwięcej szynków skupiało się wokół Wielkiej Bramy, stamtąd też przez całą długość zacisznej ulicy, przy której stał dom Trubletów, docierały doń niekiedy odgłosy bijatyki i wrzawa.

Tej nocy w domu przy ulicy Garbarskiej nie zgasło światło o wyznaczonej godzinie. W nisko sklepionej izbie tańczyły odbłaski płomieni czterech świec żelaznego kandelabra, oświetlając ją od białej podłogi po brunatne belkowania sufitu. Pod okapem pieca trzaskały w ogniu oczyszczone z popiołu polana i rozpryskiwały się snopy iskier. Białe firanki na składającym się z wielu szyb oknie, dwie szafy i kufer z rzeźbionego drewna świadczyły o zamożności mieszkańców tego domu. Na dębowym stole stał gąsiorek ze świeżo ściągającym antylnym winem i puchary.

Siedzieli przy nim dwaj mężczyźni, jednym z nich był Malo Trublet, stary rybak, głowa rodziny, drugim – jego syn Tomasz. Dwie kobiety, matka i córka, zajęte były niewiściami czynnościami – Perryna szyła, Wilhelmina przędła – lecz nie przeszkadzało im to uważnie wsłuchiwać się w relację młodego marynarza. Kukułka na drewnianym cyferblacie zegara dawno już wyśpiewała godzinę dziesiątą, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Nie była to pora składania ani przyjmowania wizyt, więc Malo Trublet zawahał się kilka sekund. Zanim podszedł do drzwi, aby otworzyć zakratowane okienko, spokojnie zdjął wiszącą na ścianie ciężką rusznicę i zapalił jej lont.

– Kto tam? – zapytał przygotowany na najgorsze.

– Wasz sąsiad z ulicy Vicairerie – usłyszał spokojny głos.

Zdziwiony Malo Trublet odłożył rusznicę.

– Otwórz! – powiedział do Tomasza, który patrzył na niego pytająco.

W drzwiach zarysowała się sylwetka wysokiego, tęgiego mężczyzny, którego dłoń spoczywała na rękojeści wielkiej szpady.

– Pan Danycan?! – wykrzyknął zdumiony Tomasz.

Gaultier Danycan, pan Closdore, młodszy brat pana de l’Espine, z pewnością nie był najbogatszym z armatorów w Saint-Malo, lecz żaden z nich nie dorównywał mu w sprycie, odwadze i szczęśliwych przedsięwzięciach. Kiedyś pędził beztroskie życie darmozjada na koszt swego starszego brata, lecz w końcu znudziło mu się to i, wykorzystawszy sprzyjający moment, w porę zaryzykował na morzu całą swoją skromną schedę. Później podwajał stawki. A że korsarstwo następowało nieuchronnie po handlu jak wojna po pokoju, i każde przedsięwzięcie dorzucało coś do kiesy awanturniczego kawalera, Gaultier Danycan, choć jeszcze młody, zaczął się zaliczać do najznacniejszych mieszczan Saint-Malo. Spodziewano się, że fortuna jego wkrótce zaćmi najślawniejsze w mieście, a może nawet w całej prowincji.

Wszedł do izby uśmiechając się szeroko i wkrótce zręcznymi komplementami i dowcipami rozweselił cały dom, teraz pił ze swego pucharu, zachwycając się doskonałością sławnego wina, zrabowanego niegdyś na galeonie hiszpańskiego króla. Wszyscy czekali, aby objawił cel swojej wizyty, wiadomo było przecież, że taki jak on człowiek nie będzie niepokoił siebie i innych po nocy jedynie dla wypicia antylskiego wina i opowiadania dykteryjek. Danycan zresztą mówił tylko to, co wypada, aby okazać się dworskim. Kiedy więc już dopełnił ceremoniału, przystąpił do rzeczy.

– Pragnąłbym, abyśmy wszyscy zachowali dla siebie to, o czym chcę tu powiedzieć. – Odpiął pas i położył szpadę na stole najwyraźniej przysposabiając się do dłuższej pogawędki. Potem oparł się łokciami o blat stołu i zwrócił się do Tomasza, patrząc mu badawczo w oczy: – Opowiedz mi szczerze i bez wykrętów przebieg dzisiejszej rozmowy z Julianem Gravém. Co ci twój armator zaproponował?

Danycan nie spuszczał oczu z marynarza. Zaiste, trudno byłoby kłamać pod kontrolą tych przenikliwych źrenic, które zdawały się docierać do najbardziej sekretnych myśli rozmówcy. Lecz Tomasz Trublet wcale nie zamierzał tego czynić. Cały jego gniew, z trudem stłumiony przed godziną, znowu nappełnił mu serce i ścisnął go za gardło, tak że nie mógł wymówić ani słowa, tylko poręcze fotela zatrzęszczały w jego kurczowo zaciśniętych dłoniach. Danycan obojętnie obserwował jego furię.

– Uspokój się – rzekł po chwili. – Powiem otwarcie: widziałem się z panem Gravém po waszej rozmowie. Tomasz spojrzał pytająco spod ściągniętych brwi.

– No cóż. Zakpił z ciebie twój armator... a raczej usiłował zakpić, prawda? Powiedz mi tylko, czy podpisałeś już kontrakt?

– Nie – wybełkotał Tomasz.

– Znakomicie! Jesteś więc wolny – ucieszył się Danycan. – A który okręt chce Gravé uzbroić na miejsce „Wielkiej Tyfeny”?

– „Zalotnicę”.

– To był najstarszy z jego okrętów już przynajmniej piętnaście lat temu. Mój dziadek był świadkiem, jak go spuszczano na wodę... Dwanaście godzin dziennie będziesz spędzał na nim przy pompach, a przez resztę dnia modlił się do swego patrona, aby cię strzegł od sztormu.

Tomasz przyznał w duchu rację Danycanowi, a ten kontynuował:

– W dodatku, chłopcze, ten kapeć nie dostanie się pod twoją komendę. Na tej całkiem zmurszałej „Zalotnicy” będziesz tylko porucznikiem, niczym więcej. Porucznikiem z prawem do ośmiu części⁴. Czy wiesz, kto zostanie kapitanem?

Tomasz nie odpowiadał.

– Stary Quintin, który przez całe swoje życie nie mógł nigdy wyjść z Dobrego Morza, ażeby nie zaczepić po drodze o wszystkie statki stojące na kotwicy od Ravelinu do Talards!... Tego człowieka będziesz musiał słuchać ty, przed którym drżał Ruyter! A to dlatego, że Gravé boi się ciebie, boi się, aby nie wybujały ponad miarę twoja odwaga i twoje męstwo. On nie lubi wojny, a ty w niej zasmakowałeś... Tak wygląda sprawa!... Jako kapitan biłbyś się dzielnie, siekłbyś wroga, ale i on nie szczędziłby ci razów. A Julian Gravé drży o swoje drewno, o swoje liny i płótno. Chce jak najwięcej zyskać, ale boi się ryzykować. Quintin będzie tam po to, aby swoim rozsądnym tchórzostwem powstrzymać cię od zbytnej gorliwości w walce. I zaoszczędzi ci zbytних kłopotów, bądź tego pewien! Oho, tłuste kąski przejdą ci koło nosa! Te można zdobyć tylko przy pomocy armat, a Quintin będzie chciał za wszelką cenę uniknąć kanonady... Będziesz za to łapał drobne rybki. Na morzu holenderskim nie brak poławiaczy śledzi...

W miarę trwania tej przemowy krew odpływała z policzków Tomasza. Twarz jego, początkowo szkarłatna z wściekłości, stawała się coraz bledsza, aż w końcu przybrała odcień zielonkawy. Obserwujący tę niepokojącą przemianę Danycan uznał, że nadszedł właściwy moment, aby ujawnić swoje zamiary. Wstał i położył szeroką dłoń na ramieniu marynarza.

– Dosyć gadania – rzekł. – Powiedzmy sobie otwarcie: twój Gravé, jego „Zalotnica” i Franciszek Quintin – to wszystko nie dla ciebie. Jestem pewien, że bardziej odpowiadałby ci inny armator i inny statek. Co o tym sądzisz?

Tomaszowi nagle powrócił spokój. Patrzył na Danycana ze skupioną uwagą.

– Otóż kończę – powiedział szlachcic – ...inny armator to ja, inny statek to moja „Piękna Łasica”. Rzuć tego skapca i zaokrętu na moją fregatę. Potrzebuję takich chłopców jak ty, a i ty potrzebujesz takiego jak ja armatora!

Wzrok ich skrzyżował się, Danycan z zadowoleniem zauważył, że Tomasz odzyskał już zimną krew.

– Doceniam zaszczyt, jaki mnie spotyka – odezwał się marynarz głosem spokojnym, niemal uroczystym. – Pańska „Piękna Łasica” jest fregatą bez porównania lepszą od „Zalotnicy” Juliana Gravégo. Co zatem pan mi konkretnie proponuje?

Danycan oparł zaciśnięte pięści na dębowym stole.

– Proponuję ci, abyś wstąpił na służbę do mnie jako kapitan z prawem do dwunastu części i przejął komendę na przygotowanej do wyprawy „Pięknej Łasicy”, która to fregata jest wyposażona w dwadzieścia osiemnastofuntowych dział i stuosobową załogę.

Tomasz wstał również, spojrział na starego Malo, potem na matkę Perrynę i zwracając się znowu twarzą do armatora powiedział krótko:

– Zgoda.

– Oto moja dłoń – powiedział Danycan.

I w ten oto sposób została zawarta umowa, która miała zadecydować o całej przyszłości Tomasza Trubleta.

⁴ Zdobywcę korsarską dzielono na trzy części: między załogę, armatora i dostawcę. Przydział należny załodze dzielił się znów na części: marynarz, w zależności od stażu, otrzymywał jedną całą część lub jej połowę, podoficer lub oficer dwie, trzy lub cztery części, kapitan miał prawo do dwunastu części, a jego porucznik do ośmiu (przyp. aut.).

IV

– Posłuchaj uważnie – mówił Danycan – bo później nie będziemy mieli wiele czasu na pogawędki, zważywszy, że chciałbym widzieć naszą fregatę rozwijającą żagle już w najbliższą niedzielę, masz więc do dyspozycji cztery dni...

– Kiedy zdążymy ją uzbroić? – przerwał Tomasz.

– Powiedziałem przecież, że wszystko jest gotowe i okręt mógłby podnieść kotwicę przy najbliższym przyptywie. Będziesz miał zdolnego porucznika. Jest nim Ludwik Guénolé, syn kowala z ulicy Herse. Znacie się przecież.

Malo Trublet zdziwiony podniósł głowę.

– Ludwik Guénolé? Czy on nie jest za młody na taką funkcję?

– Za młody?! – krzyknął Danycan i uderzył dłonią po rękojęści szpady, która wydała cichy brzęk. – Fortuna jest dziewczką i tylko młodzi potrafią jej w porę podkasać kiecki! Czy uważacie może, że trzeba mieć szpakowatą brodę, by zajmować się korsarstwem? Z wyjątkiem kilku starych wilków morskich, umiejących sobie doskonale radzić na noku rei podczas sztormu, chcę mieć młodą załogę. Moja fregata ma wrócić z wyprawy napełniona złotem!

Tu spojrzął na Tomasza i napotkał jego błyszczący wzrok.

– Tak więc – kontynuował po chwili – fregata jest przygotowana do wyprawy, zresztą jeśli będziesz chciał wprowadzić jakieś zmiany, masz na to cztery dni. A teraz najważniejsze: nie wysyłam cię na morze holenderskie, abys tam napadał na spokojnych rybaków lub był atakowany przez Ruytera. Sam król wojuje teraz przeciw Zjednoczonym Prowincjom nie na terenie Holandii, lecz w Alzacji, zapuszczając się nawet w głąb Niemiec. Zamierzam go naśladować! I nie przy wejściu do dziur tych holenderskich szcurów będzie czatowała „Piękna Łasica”! Ośmielają się nazywać „woźnicami morza”! Na morzach i oceanach statki ich oddają dumnie salwę, jak gdyby wszystkie słone wody do nich należały! Na przykład w Indiach Zachodnich, gdzie nie wiem, czy jest choć skrawek holenderskiej ziemi, jakby na przekór wszystkim traktatom wszędzie powiewa trójkolorowa⁵ flaga na statkach przewożących ładunki, które powinny należeć do nas, poddanych króla Francji, lub naszych przyjaciół, poddanych króla Hiszpanii lub Anglii. Musisz ukrócić tę zuchwałość!

– A więc do Indii Zachodnich? – raczej stwierdził niż zapytał Tomasz.

– Tak. Na Antyle. Tam się właśnie udasz i rzucisz kotwicę u wybrzeży Tortue. To jedna z tamtejszych wysp. Od tego momentu pozostawiam ci pełną swobodę poczynań. A główny ich cel można sformułować krótko: opróżniać okręty nieprzyjacielskie, napełniać swój...

Zapanowało milczenie. Malo Trublet ze zmarszczonymi brwiami czynił wysiłki, aby wyobrazić sobie te legendarne Antyle, gdzie nie dotarł nawet podczas swych najbardziej awanturniczych połowów. Na twarzach kobiet malował się przestach. Lecz o ile Wilhelmina pocieszała się, widząc oczami wyobraźni te cudownie barwne papugi, małpy i inne niezwykle zwierzęta, które brat zapewne przywiezie z wyprawy – o tyle Perryna, jak to zwykle matki, widziała już tylko groźne sztormy, katastrofy na morzu, rekiny, kanibali i wszelkie choroby. Co do Tomasza, to pogrążył się w głębokiej zadumie, lecz po jego minie nietrudno było zauważyć, że słowa przedsiębiorczego armatora trafiły na właściwy grunt. Wkrótce jednak ocknął się i zapytał przytomnie:

– Jakie mam szanse, a jakie jest ryzyko? – Po czym dodał wyjaśniająco: – Nie znam sytuacji, jaka panuje na Antylach.

Gaultier Danycan ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Ja również nie znam jej zbyt dokładnie. Nic nie szkodzi, zorientujesz się na miejscu. Najogólniej sprawa przedstawia się tak: na wyspach tych znajdują się Francuzi, Anglicy i

⁵ Chodzi tu o flagę holenderską – czerwono-biało-niebieską. Flaga morska Francji aż do 1789 r. była biała (przyp. aut.).

Hiszpanie, którzy mają prawo tam być, i Holendrzy, którzy tego prawa nie mają. San Domingo jest na pół francuska, na pół hiszpańska, Jamajka od jakichś dwudziestu lat angielska, jest jeszcze hiszpańska Kuba. Tortue to wyspa niewielka, lecz obszar nie jest rzeczą najważniejszą, o czym my, mieszkańcy Saint-Malo, powinniśmy wiedzieć najlepiej, skoro nasze miasto robi w świecie więcej hałasu, niżby się tego można było spodziewać po jego wielkości. Podobnie Tortue ma sławę głośniejszą niż Jamajka, San Domingo i Kuba razem wzięte. To prawdziwa stolica Antyli i dlatego tam rzucisz kotwicę, gdyż tam najlepiej się zorientujesz we wszystkich sprawach.

– Wnioskuje z tego, że Tortue należy do Francji – powiedział Tomasz.

– Oczywiście – przytaknął Danycan. – Król ustanowił tam swego gubernatora. Gubernatorem Jego Królewskiej Mości na Tortue i San Domingo jest, według ostatnich wieści, jakie do mnie dotarły, pan d’Oregon, o którym mówi się z szacunkiem. Te wiadomości pochodzą z 1666 roku, kiedy to gubernator Martyniki, który jest moim krewnym, przybył na dwór, na rozkaz pana de Turenne, aby zdać sprawę ze swych rządów. Bez wątplenia Tortue bardziej francuską być nie może... Choć na wyspie tej rozkazy króla nie zawsze bywają posłusznie wypełniane...

Zdziwiony Tomasz Trublet spojrział na Danycana pytająco.

– Nie dziw się temu. Tortue jest przede wszystkim lennem i ojczyzną korsarzy i to tych najzuchwalszych. Uważają oni, że powinni mieć pewne prawa do względów Jego Królewskiej Mości i korzystają z nich. Postępuj tak jak oni.

Na szerokiej i rumianej twarzy Tomasza, gdzie jak świeża krew jaśniała ukośna blizna, narysowana holenderską szablą, zjawił się nagły uśmiech.

– Są to flibustierzy⁶ – odparł Danycan. – Zapamiętaj dobrze tę nazwę. Po niej poznasz tych, którzy ją noszą.

Od pewnego czasu stojąc, szlachcic zajęty był zapinaniem swego pasa. Zawiesiwszy szpadę u boku, sprawdził, czy ostrze siedzi luźno w pochwie, aby z łatwością je w każdej chwili wyciągnąć. Pomimo straży napady w nocy nie były rzadkością. Gaultier Danycan, owijając się w płaszcz, zostawił prawą rękę wolną – na wszelki wypadek.

– A więc, moi kochani rzekł – do zobaczenia i życzę dobrej nocy pod opieką świętego Wincentego, patrona naszego miasta. Malo – zwrócił się do ojca Tomasza – jak tylko twój syn wróci z wysp, napijemy się wina równie dobrego jak to, które piliśmy dzisiajszego wieczoru. Całuję ręce pań. Do jutra, mój chłopcze, jeżeli Bóg pozwoli.

Wyszedł.

W domu przy ulicy Garbarskiej zapanował spokój. Jak przystoi dzieciom, pierwsi Tomasz z Wilhelminą udali się po drewnianych schodach do swoich pokoi, potem poszła Perryna, a Malo, głowa rodziny, zgasił wreszcie ostatnią ze świec żelaznego kandelabra, sprawdziwszy przedtem gruntownie, czy przy drzwiach wszystko jest w porządku: zamek, zasuwka żelazna, podwójna zapora.

Po czym wszystko ucichło.

Później, wśród tej ciszy rozległ się lekki szmer kroków, stawianych miękko, ukradkiem, zgłuszonych, aby nie obudzić staruszków. W niskiej izbie zajaśniało żółte światło latarki. To Tomasz, całkowicie ubrany, gotowy do nocnej włóczędzy, przemknął się do pokoiku siostry i teraz stali obok siebie cichutko się śmiejąc. Już nie od dzisiaj Wilhelmina pomagała bratu w jego nocnych wycieczkach. Jeszcze zanim osiągnął dwudziesty rok życia – a ona nie miała

⁶ Nazwa pochodzi z franc. *Flibustier*, od hol. *vrijbuitter* – dosł. wolny łupieżca. Kompanie piratów i korsarzy, nazywających siebie także Braćmi Wybrzeża, lub niekiedy Rycerzami Fortuny czy Awanturnikami. Flibustierzy grasowali w XVII i XVIII w. u wybrzeży kolonii hiszpańskich w Ameryce Południowej, w walce z Hiszpanami korzystali z protekcji Anglii i Francji (przyp. red).

wówczas nawet piętnastu lat – już wtedy Tomasz wymykał się każdej nocy z domu, aby biec do szynków lub w inne sobie tylko znane miejsca. Zapewne nie byłby to piękny wieczór po takim dniu – dniu, w którym zamienił srebrny gwizdek, znak bosmana, na kapelusz z piórami i szpadę – gdyby kapitan Tomasz Trublet poszedł spać razem z kurami, nie obiegłszy przedtem miasta i nie uściskawszy rąk swych dobrych, wypróbowanych druhów.

– Idź więc – rzekła dziewczyna. – Ale ani mi się waź hałasować, jak będziesz wracał. Rzuć piaskiem w moje okno, usłyszę na pewno i pobiegnę ci otworzyć.

V

W szynku przy Wielkiej Bramie marynarze Juliana Gravégo jeszcze pili, żadnego z nich tam nie zabrakło. Wchodzącego Tomasza Trubleta powitano głośnymi okrzykami.

– Jak się macie, chłopcy! – zawołał wesoło. – Jestem, jak zapowiedziałem. Kto mi zrobi miejsce?

Przekroczył dwie ławki, potem stół. Pochwa jego szpady uderzyła w pełną szklanice i przewróciła ją.

– Do diabła! – zaklął pijak. – Trublet, twoja szpada ma pragnienie.

Tomasz zaśmiał się. Jakiś człowiek, siedzący w głębi knajpy w otoczeniu innych, podniósł się ze swego stołka.

– Szpada? – powiedział. – E, cóż to? Szlachcic tutaj o tej porze?

Tomasz, który już zdążył usiąść, gwałtownie się podniósł.

– Ktoś mnie woła? – zapytał zaczepnie.

Lecz tamten, rozsądny, uważał za stosowne nie odpowiedzieć. Tak więc Tomasz znów usiadł, a jego chłopcy, otoczywszy go, wnieśli szklanice:

– Wiwat! Trublet, pokaż nam, jak się pije!

Pił. Potem, kiedy służąca przyniosła nowy gąsiorek, udał, że pas go krępuje i odpiął go, kładąc szpadę na stole – jak to widział niedawno u Danycana.

– Psiakrew! – zaklął – ma pragnienie czy nie, szpada też zasługuje na swoją porcję wina, jest to bowiem ta sama, którą nosił kapitan Wilhelm Morvan. I, zaiste, robił z niej dobry użytek.

– Ty tak samo! – krzyczeli chłopcy. – Wina dla szpady!

Jedni mówili: „szpada Wilhelma Morvana”, a drudzy: „szpada Tomasza Trubleta”. Zadowolony Tomasz uderzył po stalowej rękojeści, wciąż naśladując Danycana.

– Więc tak! – powiedział, patrząc w głąb szynku. – Szpada jest moja, jak to wszyscy mówicie, prawem dziedzictwa. I, również w randze kapitana, będę się nią posługiwał jak jej poprzedni właściciel. A „kto na nią szemrze, również niech będzie; takie moje życzenie!” – zacytował z emfazą dumną dewizę, jaką księżna Anna kazała wyryć na granicy swego zamku.

Rozległy się okrzyki: hurra! Jeden z energiczniejszych chłopców uderzył wściekle pięścią w stół.

– Za pomyślność! – zaryczał podnosząc w górę szklanice. – Za kapitana Tomasza!

Jakiś głos, nie wiadomo skąd, zapytał:

– Kapitana? Czy on jest naprawdę kapitanem?

– Jestem nim! – rzekł Tomasz dumnie. – „Kto szemrze...”

Lecz nikt nie szemrał, a nawet przeciwnie. W całej grupie marynarzy z „Wielkiej Tyfeny” rozszalał się hałaśliwy entuzjazm.

– Doskonale! Świetnie! – krzyczano ze wszystkich stron. – Rozkazuj, kapitanie! i jazda na Holendrów! Niech żyje Król! Śmierć Ruyterowi! Tomaszu, weź nas na swój pokład, jesteśmy twoimi ludźmi!

– Diabeł mnie będzie błogosławić – zaklął Tomasz – jeżeli was nie wezmę, was wszystkich, którzyście się niedawno tak dzielnie spisali!

– Kiedy podniesiesz kotwicę? – zapytał jeden z mniej pijanych.

– Jutro, jeżeli zechcę! – odparł rezolutnie Tomasz.

W tej chwili pomiędzy ludźmi, którzy pili w głębi szynku, powstał spór:

– Siedźże! – radził jeden z nich, ten sam, który dopiero co wyśmiewał się ze szpady Tomasza Trubleta. – Siedź i uważaj, co będzie dalej. Nie widzisz, że on jest pijany?

– Tak! – potwierdził ktoś inny. – I zobacz, w jakim jest bojowym nastroju!

Ale człowiek, który się podniósł, nie ustąpił swym towarzyszom.

– Czy ma nastrój taki, czy inny – rzekł – jest mi wszystko jedno. Słyszałeś go, jak mówił o podniesieniu jutro kotwicy? Muszę z nim pomówić jeszcze tego wieczoru i, pijany czy nie, musi ze mną mówić.

– Wincenty, wariacie! O czym ty myślisz? Nie szukaj zwady...

– Czy mówiłem o zwadzie? Nie! To nie ja szukam zwady, klnę się na Najświętszą Panienkę!

Wciąż stojąc, człowiek ten wyrwał się z rąk, które go chciały zatrzymać. Idąc do stołu chłopców z „Wielkiej Tyfeny”, podszedł aż do Tomasza Trubleta i położył mu dłoń na ramieniu.

– Tomaszu! – powiedział głosem bardzo spokojnym, chociaż głuchym i nieco ochryplym.

Zapanowała cisza. Człowiek, który podszedł do Tomasza, nie mówił głośno. Pomimo to usłyszano go doskonale, bez wątpienia z powodu tego szczególnego głosu, jaki posiadał. Nikt z pijących nie myślał już krzyczeć ani śpiewać, stało się bowiem nagle dla każdego oczywiste, że nie czas teraz na pijatykę i że stanie się oto rzecz poważna.

Tomasz zaś poruszył się niespokojnie na stołku. Zdawało się, iż zaskoczony w ten sposób w rozgwarze pijatyki i pośród swych marynarzy, rzucił się z całą wrodzoną gwałtownością na tego, który przerwał zabawę. Podniósł się, ściskając pięści.

Lecz, zobaczywszy tego człowieka i poznawszy go, opanował się w jednej chwili, usiadł i uspokojony roześmiał się głośno.

– Cóż to! – rzekł. – To ty, Kerdoncuff? Cóż ty tam robisz w tym kącie, zamiast przyjść tutaj pić razem z nami?

Uspokojone zgromadzenie przytaknęło hałaśliwie. Tylko Wincenty Kerdoncuff nie przyłączył się do tego zespołu.

– Tomaszu – odezwał się po chwili – jesteś z pewnością dobrym kompanem i dziękuję ci za zaproszenie. Lecz nie chodzi tu wcale o picie, mam do ciebie sprawę i to sprawę poważną. Otóż niedawno powiedziałeś, że jutro, być może, podniesiesz kotwicę i udasz się na morze?

– Powiedziałem to.

– A więc trzeba, abyśmy jeszcze tego wieczoru porozmawiali, jeżeli Bóg pozwoli, po dobrej przyjaźni.

Tomasz, przed chwilą rozbawiony i krzykliwy – w gruncie rzeczy nie wypił nawet jeszcze czwartej części tego, co należy wytrąbić, aby być porządnie podchmielonym – teraz spoważniał.

– Po dobrej przyjaźni? – powtórzył chłodniej niż Wincenty, jakkolwiek ten ostatni nie kładł już w tę przyjaźń wielkiego uczucia. – Po przyjaźni? Jeżeli tak jest rzeczywiście, a ja w to mocno wierzę, po kiego diabła mamy sobie psuć noc i odrywać się od tego miejsca, gdzie wino wcale nie jest najgorsze? Porzuć lepiej tę myśl, siadaj tam i mów, o co chodzi.

Wincenty Kerdoncuff potrzęsnał głową:

– Nie! To niemożliwe. Tylko my dwaj, ty i ja, i nikt więcej, możemy o tym mówić. Chodź więc stąd – dokąd chcesz, ale sam.

Tomasz podniósł się, nie próbując więcej protestować, lecz uczynił to tak brutalnie, że cały stół się zatrzęsł i poprzewracało się wiele szklanice.

– Do pioruna! – zawołał spoglądając na swoich chłopców – wobec tych ludzi rzadko mam tajemnice. I wszyscy są mi świadkami, że tym razem, jeżeli przed nimi coś ukrywam, to nie ja tego chciałem.

Chłopcy poruszyli się na to wezwanie, a kilku z nich zamruczało dość głośno. Jeden krzyknął nawet:

– Śmierć Ruyterowi i śmierć wszystkim, którzy czyhają na naszą zgubę, tu, jak i gdzie indziej!

– Cicho tam! – rozkazał Tomasz dość miękko. Nieco zaskoczony, Wincenty Kerdoncuff powiedział z podziwem:

– Jesteś wielce popularny, przyjacielu.

Gotując się do wyjścia Tomasz nie zapomniał przypasać szpady kapitana Wilhelma Morvana – i to wciąż tym samym gestem, jaki widział u Danycana w swoim domu.

VI

Wyszedłszy pierwszy zatrzymał się zaraz na progu szynku i zwrócił się twarzą do Wincentego Kerdoncuffa, który szedł za nim.

– A więc? – zapytał, gotów do rozmowy.

Lecz Kerdoncuff, nie tak prędko, wskazał ręką na koniec ulicy.

– Chodźmy dalej, tu pod drzwiami jest za dużo ludzi i mógłby nas kto podsłuchać...

Rzeczywiście, Główna Ulica była ulicą bardzo ożywioną. Całe nocne życie Saint-Malo skupiało się tutaj i tutaj to właśnie po godzinie gaszenia światła spotykali się i gromadzili wszyscy, którzy chcieli się zabawić, napić, pohulać, nagadać – szajki dobrych kompanów, postrach spokojnych ludzi i największy kłopot sierżantów straży. Dość szeroka i prawie prosta, ulica ta miała wygląd niebrzydki i nie przypominała wcale tych rozbójniczych krętych zakamarków, jakie się spotyka w innych miastach i jakie są dobrze znane pod nazwą piekielnych zaułków. Lecz habit nie czyni mnicha. I Główna Ulica Saint-Malo tylko z pozoru budziła zaufanie, w istocie zaś przy niej to od wałów do dzielnicy biskupiej mieściło się piętnaście do dwudziestu lokali, stojących otworem w dzień i w nocy dla wyżej wspomnianych kompanów, chętnie osuszających szklanice, zalecających się do dziewcząt, grających w karty i potem toczących między sobą bijatyki.

– Chodźmy dalej! – powiedział Wincenty Kerdoncuff.

– Chodźmy! – zgodził się Tomasz.

Przeszli zatem całą Główną Ulicę aż do Biskupówki, później, skręcając na prawo, poszli ulicą Croix du Fief, a następnie ulicą Świętego Jana z Grille aż do murów Trzech Cmentarzy. Wincenty chciał iść jeszcze i kierował się w stronę północnego wału, lecz Tomasz osądził, że już dalej iść nie trzeba.

– Po kiego diabła! – rzekł. – Widzisz przecież, że nie ma tutaj ani niepotrzebnych oczu, ani niepotrzebnych uszu?

Miejsce było istotnie całkiem wyludnione. Zamieszkała część miasta już dotąd nie sięgała; poza niskimi domkami niezbyt długiej ulicy Kardynalskiej Kerdoncuff i Trublet mogli dostrzec mur pałacu Quic-en-Groigne i słyszeć niewyraźny poszum fal morza.

– Mów więc wreszcie, o co chodzi – powiedział Tomasz. – A może wolałbyś, ażebyśmy przeszli za ten mur, gdzie moglibyśmy prowadzić rozmowę jeszcze dalej od wszelkich istot żyjących? – zapytał ironicznie i wskazał na mur cmentarny, niższy od muru Biskupówki.

– Nie! – odparł Wincenty poważnie. – Tu właśnie możemy porozmawiać, jeżeli raczysz mnie wysłuchać.

– Mów! – powtórzył Tomasz.

Stali twarzą do środka ulicy. W miejscach, gdzie zbita ciżba domów rzucała gęsty cień, noc zdawała się być bardzo ciemna. Ale cmentarze były jak jeden potrójny ogród, a poprzez jego cisy i wierzby księżyc rozsiewał ukośnie swoje promienie. Niskie mury nie dawały wielkiego cienia, tak że ulica była dość jasna. Tomasz i Wincenty, wychodząc z tonących w cieniu ulic, znaleźli się tutaj twarzą w twarz jak przy świetle dziennym.

Wincenty Kerdoncuff przystąpił do rzeczy:

– Tomaszu, chodzi o moją siostrę Annę Marię... Chcę wiedzieć, jakie masz wobec niej zamiary?

Głos jego, jakkolwiek ochrypliwy i nieco drżący ze wzruszenia, brzmiał pomimo to ze szczególną siłą. Tomasz, zaskoczony i wyprowadzony z równowagi, cofnął się o krok.

– Twoja siostra? – wybełkotał. – Twoja siostra? – powtórzył jakby nie rozumiał. – O co chodzi? I co ja z nią mam wspólnego?

Lecz Kerdoncuff zbliżył się do Tomasza i schwycił go za ręce silnym uściskiem.

– Zamilcz na Boga! – zawołał z nagłą gwałtownością. – Zamilcz, jeżeli chcesz tylko kłamać! Wiem wszystko: ta suka mi powiedziała... Ach, tego dnia skóra jej nie była wiele warta! Dlaczego jej nie zabiłem, zadaję sobie wciąż to pytanie... Ale mniejsza z tym: teraz chodzi nie o nią, lecz o ciebie. Tomaszu, ty ją miałeś, była dziewczcą, więc odpowiedz mi, co zamierzasz z nią robić teraz?

Nie puszczał z dłoni rąk Tomasza. Zresztą ten nie próbował ich uwolnić.

– Bo ja wiem? – odezwał się zakłopotany i jakby znudzony. – Czy ja wiem? – powtórzył. – Wincenty, wysłuchaj mnie i nie gniewaj się, gdyż cała ta historia nie jest żadnym nieporozumieniem. Skoro siostra ci wszystko wyznała, nie widzę powodu, abym milczał. Tak jest, posiadłem ją. Ale nie gwałtem, przysięgam ci, przeciwnie, stało się to za jej pełnym zezwoleniem. Zapytaj lepiej jej, kto z nas zaczął za kim latać? Krótko mówiąc, w następstwie tego... – Tu się zająknął, ale po chwili kontynuował już pewniejszym głosem. – Ponadto, jeśli o mnie chodzi, nikomu o tym nie mówiłem. A więc w czym tu jest zło? Nie myśl, przyjacielu, że Anna Maria jest jedyną dziewczyną, którą pozbawiłem dziewictwa. Otóż, żadna nie robi z tego powodu hałasu... Cóż chcesz, siostra twoja jest z tej samej gliny, co inne. Pozostaw ją w spokoju i nie zajmuj się tym więcej, to wyłącznie jej sprawa.

Tomasz Trublet westchnął ciężko i zadowolony, że powiedział tak wyraźnie to, co jego zdaniem należało powiedzieć, zaśmiał się.

Wincenty Kerdoncuff, milcząc złowrogo, pozwolił mu się wypowiedzieć. Słuchał go, lecz, być może, nie rozumiał, pogrążony całkowicie w swoich ponurych myślach. Obydwaj mężczyźni byli wciąż jeszcze złączeni ze sobą, dłonie jednego zaciskały się wokół rąk drugiego, lecz nie zwracali na to uwagi.

Tak więc Tomasz Trublet, skończywszy mówić, zaśmiał się. Wincenty Kerdoncuff, wytrącony z zadumy, usłyszał ten śmiech i w tej samej chwili rozjuszył się jak byk, który zobaczy czerwona płachtę. Zatrząsł nim od stóp do głów tak wściekły gniew, że uczynił jakiś dziwny skok, potknął się i o mało co nie upadł. Kurczowo zaciśnięte usta nie pozwalały mu wydać żadnego dźwięku. Bełkotał tylko niewyraźnie, wczepiając się paznokciami w ciało przeciwnika, który, nagle zaskoczony, nie mógł na razie stawić oporu.

– Puszczaj mnie, puszczaj do diabła!... Do licha, puścisz mnie, czy nie, ty łotrze?

Zaczęli bójkę. Tomasz był z pewnością silniejszy. Lecz człowiek, opanowany wściekłością, może pokonać trzech spokojnych. Wincenty czuł swoją przewagę i trzymał zdobycz. Tomasz, nie mogąc się uwolnić, zgrabnym ruchem schwycił rękojeść szpady i zaklął znowu:

– Do wszystkich diabłów! Wincenty, jeżeli mnie nie puścisz, zabiję cię!

Wincenty zobaczył ten jego ruch. Wydał dziki okrzyk, puścił Tomasza, odskoczył w tył i wyciągnął szpadę – wszystko to w mgnieniu oka. W świetle księżyca błysnęło nagie ostrze. Było długie i mocne, przeznaczone do walki, a nie takie jak owe zabawki od parady, jakie,

zresztą niechętnie, nosili mieszczanie Saint-Malo. Tomasz ujrzał to ostrze w niewielkiej odległości od swego gardła. Zatrzymał jednak szpadę w pochwie i nawet skrzyżował ręce na piersiach, odzyskując nagle spokój i zimną krew, jak to zawsze się z nim działo w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa. Kerdoncuff, zgiąwszy kolano, natarł półobrotem ręki.

– No, uderzaj! – powiedział z pogardą Tomasz, śmiejąc się znowu, lecz tym razem już innym śmiechem. – Jeżeli mnie zabijesz, twoja siostra będzie z tego bardzo zadowolona!

Kerdoncuff odstąpił krok i opuścił rękę. Wciąż z pogardą Tomasz dodał:

– Jeżeli chcesz mnie zabić, dobrze! Jeżeli chodzi o co innego, powiedz!

Lecz Wincenty Kerdoncuff nie mógł mówić od razu. Dyszał ciężko, potem znów zabelkotał. Wreszcie odzyskał mowę.

– Czy... czy... poślubisz... moją siostrę?

Tomasz Trublet pozostał z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– To wszystko? – spytał chłodno – to wszystko, co chciałeś powiedzieć? Szkoda tylu słów dla tak prostej sprawy... Czy poślubię Annę Marię? Chcesz wiedzieć? Nie, nie poślubię jej. Nie dlatego zresztą, aby ona mnie nie chciała w tej chwili, ale dlatego, że ja jej nie chcę. Wszelkie głupstwa między nami są już skończone. Powtarzam, Wincenty, nie mieszaj się w tę sprawę. Siostra twoja poślubi, kogo będzie chciała, bo jest dziewczyną ładną, bogatą i z dobrym imieniem. Ja zaś żadnej nie poślubię. To jest moje postanowienie, a zresztą, kieruję się tutaj rozsądkiem: żenić się bowiem nie jest rzeczą korsarza.

Wincenty podniósł znów rękę. Tomasz ujrzał ponownie ostrze szpady na wysokości swego gardła. Niewzruszony, powtórzył raz jeszcze, bardzo spokojnie:

– Nie. Nie poślubię jej. Nie. Nie!

– Miej się więc na bacności! – wyszeptał Wincenty, cały drżący z gniewu.

Lecz Tomasz powoli tracił cierpliwość.

– Sam się miej na bacności! – powiedział nagle, usiłując jeszcze zachować spokój. – Miej się na bacności, boja nie lubię pogrózek. I, jak Bóg na niebie, nie masz racji!

Wincenty, jak gdyby go nie słyszał, stanął w rozkroku, wysuwając prawą stopę naprzód, jak to czynią zapaśnicy, gdy zaczynają walkę. Jego prawa półzgięta ręka wyprostowała się lekko i dosięgła odsłoniętej piersi Tomasza, który nie zdążył się cofnąć. Ostrze dotknęło sukna kaftana.

Wtedy obydwaj razem zaczęli krzyczeć.

– Ożeń się z nią albo zginiesz tutaj! – z największym wzburzeniem wołał Kerdoncuff.

A Tomasz, którego zbyt długo hamowany gniew wybuchnął nagle jak wybuch granat:

– Precz z mojej drogi albo cię zatłukę!

To, co się stało potem, nie trwało dłużej niż zmówienie zdrowaśki. Wincenty uderzył, Tomasz odskoczył w bok, zbyt późno jednakże, aby uniknąć zadraśnięcia w ramię. Wówczas zawył z wściekłości, jednym ruchem wyciągnął szpadę z pochwy, odbił cięcie i wyciągając ramię, trzy razy pchnął w prawy bok Wincentego, który bez westchnienia zwałił się jak zarżnięty wół.

VII

Tomasz Trublet stał przerażony ze szpadą w dłoni. Z jej opuszczonego ku ziemi ostrza ka-pały powoli ciemne krople. Na bruku leżało na wznak, ze skrzyżowanymi ramionami, nieruchome ciało Wincentego Kerdoncuffa.

– Najświętsza Panno Wielkiej Bramy! – westchnął bezradnie. Otarł odruchowo zakrwawioną szpadę, włożył ją do pochwy, potem, klękając na ziemi, nachylił się nad pokonanym.

– Z pewnością już nie żyje... – pomyślał.

Wszystko na to wskazywało. Rana była podwójna, ostrze wepchnięte po rękojeść pod prawą pachę wyszło przez lewe ramię. Krew płynęła wielkimi fontannami z obydwu ran.

Tomasz podniósł głowę Wincentego i opuścił ją znowu. Wstrząs ten bez wątpienia poruszył jakieś sprężyny w ciele, nagle bowiem zatrzepotały zsiniałe powieki, a w przyćmionych źrenicach słabo zamigotał blask. Zdziwiony Tomasz Trublet nachylił się ponownie nad zastygłą twarzą. Zadrzały wówczas bezkrwiste wargi i Wincenty Kerdoncuff przemówił.

– Tomaszu – mówił cicho, z największym wysiłkiem – to ja ciebie wyzwalałem... Odejdź więc w pokoju, nie jesteś winien mojej śmierci.

Zakaszła i krew popłynęła mu do warg, które na chwilę stały się podobne do warg człowieka żyjącego. Tomasz, widząc to, zaklinał go, aby milczał, gdyż każde słowo, wydane z tych krwawiących ust, przyspieszało zbliżającą się według wszelkich oznak śmierć.

Ale Wincenty pomimo to mówił dalej:

– Tomaszu, czy poślubisz moją siostrę, Annę Marię?

W niemal zagastych oczach zamigotał żywy niepokój. Tomasz, zdziwiony, mimo woli podniósł brwi. A Wincenty odpowiedział na to nieme pytanie – z wysiłkiem, który sprowadził na jego skrwawione wargi czarniawy skrzep krwi.

– Nie powiedziałem ci wszystkiego... I popełniłem wielki błąd... Tomaszu... moja siostra... jest brzemienna... od czterech miesięcy... a to jest akurat czas, który upłynął od twego ostatniego odjazdu... Tomaszu Trublet... na Boga, który mnie będzie sądził... moja siostra... ty jeden ją posiadłeś... dopóki ciebie nie widziała, była dziewczyną rozsądną... czy ją poślubisz?

Źrenice jego znów się zaćmiły. Kerdoncuff naprawdę umierał. Tomasz poczuł w całym ciele jakieś dziwne i silne drżenie. Jego wola, złamana, osłabiona, rozbita, nie podtrzymywała go już przeciw temu, umierającemu, który błagał. Wincenty ostatnim wysiłkiem opierając się obiema rękami o bruk, zwrócił się do Tomasza. Wtedy ten, z sercem pokonanym przez litość, przed którą nie mógł się obronić, ustąpił. Skłaniając głowę na znak zgody, powiedział:

– Dobrze, Wincenty, jeśli siostra twoja jest naprawdę brzemienna i jeśli stało się to za moją sprawą, poślubię ją, przysięgam na Chrystusa z Ravelinu i Najświętszą Panienkę Wielkiej Bramy.

Umierający chciał coś powiedzieć, ale siły go opuściły. Drugi czarny skrzep, większy niż pierwszy, nie mógł mu przejść przez gardło i dusił go. Obydwie ręce, wsparte o ziemię, osłabły, i ciało, niczym nie podtrzymywane, upadło twardo na bruk. Jakiś dreszcz wstrząsnął umierającym. Potem całe ciało zastygło.

Tomasz, obnażywszy głowę, przeżegnał się pobożnie, ażeby zmówić jedyną znaną sobie modlitwę za zmarłych.

W godzinę później księżyc, teraz już wysoko na niebie, rozrebrzył rześście całe Dobre Morze. Tomasz Trublet z wysokości wału, górującego nad Starym Nabrzeżem, pomiędzy wszystkimi, strzelającymi ku niebu, masztami – a stanowiły one jakby gęsty las – szukał oczami swojej nowej fregaty, „Pięknej Łasicy”, której położenie w porcie określił mu Gaultier Danycan. Znalazł ją?

– Tak! – pomyślał – zrobiłem bardzo mądrze, dochodząc z Wincentym do zgody... szybko i skutecznie...

Śmiertelne szczątki Kerdoncuffa zostały z łatwością przeniesione przez niewysoki mur Trzech Cmentarzy w potężnych ramionach Tomasza. Po godzinie zatem trup znajdował się tam, gdzie powinny się znajdować trupy. A zarośla, wśród których Tomasz go umieścił, miały ukrywać ciało przez jakiś czas. W każdym bądź razie nie mogło to trwać długo. W tamtych czasach bowiem takie wypadki nie były rzadkością, a garnizon miejski nie omieszkął za każdym razem robić wielkiego hałasu z powodu zabitego człowieka, choćby to się stało w uczciwej walce. Sytuacja, w jakiej znalazł się Tomasz Trublet, wcale nie była dobra. Wyszedł z opresji obronną ręką, ale oto stał się mordercą.

Lecz na ciemnej wodzie, gdzie księżyc odbijał swoją srebrną tarczę, cztery maszty „Pięknej Łasicy” z dziesięcioma skrzyżowanymi rejami kołysały się bardzo żałośnie. Tomasz Trublet, patrząc na nie, uśmiechnął się.

– Nie w niedzielę – zamruczał – lecz jutro... tak! jutro podczas wieczornego przyływu... jeżeli pozwoli mój święty patron... wyjdę w morze.

Wówczas zabrzmiał dzwon Noguette. A była już godzina bardzo późna. Biegające na piasku po odpływie psy straży miejskich Saint-Malo odpowiedziały na dźwięk dzwonu długim wyciem. Tomasz przeżegnał się znakiem krzyża, wierzył bowiem, że zwierzęta wyją poczuwszy nieboszczyka.

Psy, naszczekawszy się do syta, zamilkły, a Tomasz Trublet westchnął:

– Boże, przyjmij duszę tego nieszczęsnego chłopca!

Tomasz Trublet bowiem nie był człowiekiem okrutnym ani twardego serca...

KSIĘGA DRUGA

KORSARZE

I

Z bocianiego gniazda, ulokowanego ponad fokbramslem, „oko” badający horyzont, pochylił się w stronę pokładu i zawołał przez złożone w tubę ręce:

– Łąd!... Trzy rumby w lewo...

Wtedy inny wachtowy, usłyszawszy to, popędził z siekierą w garści przez całą długość pokładu, aż do jego krawędzi, i powtórzył z całej siły okrzyk, ażeby go usłyszała cała załoga.

– Łąd! Trzy rumby w lewo! Łąd!...

Zbiegli się wszyscy, a wielu marynarzy wdrapało się na wanty, ażeby lepiej widzieć.

Od czasu wypłynięcia z Dobrego Morza minęło właśnie sześćdziesiąt dni. Sześćdziesiąt dni dla przepłynięcia piętnastu setek wielkich mil morskich⁷, oddzielających Tortue od Saint-Malo, to nie była fraszka. Mógł tego dokonać tylko doskonały żaglowiec, a „Piękna Łasica” właśnie nim była.

Tomasz Trublet, wyszkolony dobrze przez swojego armatora i przez obeznanych z tymi morzami starych marynarzy z Saint-Malo, starał się obrać najlepszy kurs, choć ten daleki był od najprostszego. Gdy tylko minęli Półwysep Bretoński, pożeglował na południe, wzdłuż Hiszpanii, Portugalii i poznawanych jedna po drugiej wysp afrykańskich: Madery, Wysp Szczęśliwych, archipelagu Wysp Zielonego Przylądka. I wtedy dopiero, korzystając z pomyślnego wiatru przebrasował reje, wziął kurs na Amerykę, przeciął ocean od wschodu do zachodu – zostawiając daleko na północy szkaradne Morze Sargassowe, i w końcu, czterdziestego piątego dnia zatrzymał się na jednej z Wysp Podwietrznych – której? to go nie obchodziło. W pięć dni później, po idących na zmianę wicherach i beznadziejnych ciszach, „Piękna Łasica” płynęła wzdłuż Wysp Dziewiczych, Puerto Rico, potem San Domingo. Lecz oto nadszedł dzień sześćdziesiąty. Sygnalizowany ład nie mógł być teraz niczym innym, jak tylko upragnioną Tortue, celem i końcem długiej podróży.

Drzwi rufowego kasztelu otworzyły się i wyszli stamtąd kapitan Tomasz Trublet z porucznikiem Ludwikiem Guénolém. Trzymając się pod ręce szli wzdłuż pokładu i po schodniach lewej burty weszli na bak. Tam, przyłożywszy ręce do czoła, aby lepiej widzieć, spojrzeli w dal. Załoga, zgromadzona wokół, pilnie nasłuchiwała. Ani Trublet, ani Guénolé nie byli zwierzchnikami, do których ludzie mogliby czuć nienawiść lub pogardę.

– Piękna wyspa – rzekł Tomasz po chwili przypatrywania się.

– Istotnie, piękna – przyznał Ludwik Guénolé. – Z wyglądu przypomina tę, którą nam niedawno opisywał Kersaint, co to spędził cztery lata wśród tutejszych ludzi.

Łąd, o którym mówili, właśnie się wyłaniał z błękitnego horyzontu, sam niebieskawy i jakby przezroczysty. Lecz oczy marynarzy, pomimo odległości, odróżniały już falisty profil łańcucha gór, urwanych stromo od północy i, przeciwnie, zniżających się w łagodnym spadku od południa.

⁷ Ówczesna wielka mila morska (franc. *lieu*, ang. *league*) wynosiła 3 mile morskie (przyp. red.).

– Na tych morzach – zauważył Ludwik Guénolé – wzrok niesie bardzo daleko. To zadziwiające zjawisko. Do diabła! U nas najsprytniejszy wachtowy z bocianiego gniazda nie odgadłby nigdy na podobną odległość, że tam jest ląd!

– Do kroćset, masz rację! – potwierdził Tomasz Trublet. Po czym umilkli i patrzyli dalej w milczeniu.

„Piękna Łasica” płynęła na otwartym morzu pod wszystkimi żaglami, oprócz bramsli, które często są zbyt cienkie, aby nimi manewrować, kiedy się zerwie wichura. W ten sposób ożaglowana, „Piękna Łasica” poruszała się, według logu, z prędkością około ośmiu węzłów i Tortue zaczynała się wznosić ponad morzem.

Ląd niebieskawy stał się zielony, tą zielonością delikatną i aksamitną, której się nie spotyka w żadnej stronie świata, z wyjątkiem Antyli. A wśród tej rzadkiej i doskonałej zieleni, istotnie zachwycającej oczy, ukazała się teraz pewna liczba porozrzucanych, tu i tam białych punkcików. Była nimi pokryta góra. Rozsiane na aksamicie drzew i łąk robiły wrażenie tych bardzo wytwornych koronek, którymi wielcy panowie zdobią jedwab żupanów.

– Boże! – zawołał Ludwik Guénolé, wskazując wyspę palcem – myślę, że ten zakątek jest najbogatszy w świecie. Wszystko, co tam widać, to nie może być nic innego, jak ślicznie położone wille i pałace.

– A właściwe miasto – dorzucił Tomasz Trublet – jest na dole nad samym brzegiem morza. Oto się teraz pokazuje i port także.

Była to tylko mała przystań, położona w zatoce, na której brzegu stało w szeregu trzydzieści do czterdziestu bardzo brzydkich budynków, podobnych raczej do jakichś magazynów niż domów mieszkalnych. Ale na lewo cieszyła oczy solidnie obmurowana bateria, a ogień jej czterech ciężkich dział z zielonego spiżu musiał się doskonale krzyżować z ogniem wielkiej wieżycy, którą się rozróżniało na prawo. I jakkolwiek otwarty od strony morza, port wyspy Tortue, będąc tak doskonale przygotowany do odparcia ataku nieprzyjacielskiego, nie musiał się go lękać.

– Będziemy się tam czuli najlepiej na świecie – osądził Tomasz, kiedy już wszystko zobaczył. – Ściągnijcie żagle i przygotujcie się do rzucenia kotwicy. Wydaj odpowiednie rozkazy, Ludwiku, ja zaś wrócę do kasztelu.

Guénolé skłonił głowę.

– Według twych rozkazów – odparł tylko.

Trzymając się pod rękę, wrócili na rufę. Kapitan wszedł z powrotem do swojego salonu, podczas gdy porucznik udał się na pokład kasztelu rufowego, skąd lepiej się kierowało manewrami okrętu i gdzie trzeba być, aby widzieć od jednego rzutu oka dziesięć rej czterech masztów.

Tomasz Trublet siedział w salonie, twarzą do swego kapitańskiego kufra, i podniósłszy ciężkie wieko o podwójnym zamku szukał wśród papierów okrętowych dokumentu najważniejszego ze wszystkich, tego, który miał wkrótce przedłożyć gubernatorowi d’Ogeron. Według bowiem ostatnich wiadomości, jakie miał z Wersalu kawaler Danycan, pan d’Ogeron rządził wciąż jeszcze, od roku 1666, a nawet 1664, wyspą Tortue i wybrzeżem San Domingo dla króla i panów z Kompanii Zachodniej.

– Bez wątpienia to ten – zamruczał wreszcie Tomasz.

Rozwinął pismo. Był to pergamin pokryty dwoma szeregami wielkich pieczęci z zielonego wosku. Tomasz, jakkolwiek nie bardzo uczony, czytać umiał. Sylabizował:

PRZYWILEJ KORSARSKI

LUDWIK DE BOURBON, HRABIA DE VERMANDOIS, ADMIRAŁ FRANCUSKI, *do wszystkich, którzy niniejsze oglądać będą, pozdrowienie. Według rozkazów, które otrzymali-*

śmy od Króla, ażeby pilnować akuratannej obrony jego poddanych i dla zabezpieczenia handlu morskiego...

Później, przepuszczając kilka wierszy:

...Dla tych przyczyn zwolniliśmy od służby, daliśmy władzę i zezwolenie panu Tomaszowi Trubletowi, kapitanowi lekkiej fregaty, zwanej „Piękna Łasica”, około stu sześćdziesięciu ton, z taką ilością ludzi, dział, kul, prochu, ołowiu i innej amunicji i żywności, które są niezbędne w podróży morskiej, aby walczył przeciwko rozbójnikom morskim, korsarzom lub ludziom bez określonego zajęcia, a nawet przeciwko poddanym Republiki Zjednoczonych Prowincji Niderlandów, i przeciwko innym wrogom Państwa, oraz brat ich do niewoli wraz z ich okrętami i inny mi rzeczami, które im będą wzięte we wszelkich miejscach i okolicach, gdzie można będzie ich spotkać...

– To jest dobre! – powiedział głośno.

Znów przepuścił cały paragraf i czytał dalej:

...Z obowiązkiem dla wyżej wymienionego Tomasza Trubleta wywieszania podczas walki jedynej flagi, która jest jego, mianowicie Saint-Malo, niebieskiej, przeciętej krzyżem białym, w wolnym polu szkarłatnym mającej biegnącą łasicę srebrną; z obowiązkiem także spełniania i przestrzegania spełnienia przez załogę rozkazów marynarki i rozporządzenia, danego przez Jego Królewską Mość Roku Pańskiego 1669...

Pergamin, złożony z powrotem, zaszeleścił.

– Z tego jasno wynika – wywnioskował zadowolony Tomasz Trublet – że jesteśmy korsarzami zupełnie według prawa.

Ludwik Guénolé, stojąc na pokładzie kasztelu rufowego, niedaleko stermasztu, wydawał komendy:

– Zwijać dolne żagle! Na górę żeglarze!

Jego bretoński głos, suchy i zarazem śpiewny, niósł daleko i był słyszany aż do fokmasztu.

– Wchodzić! Zwijać dolne żagle! Uwaga na noki!

Na „Pięknej Łasicy” każdy manewr wykonywany był z taką samą szybkością i dokładnością, jaką podziwiano na statkach marynarki królewskiej.

– Na dół!

Żeglarze opuścili się wzdłuż want. Dolne żagle były zwinięte. Mistrz kanonierów zbliżył się do schodni kasztelu rufowego na pokładzie i zdjął kapelusz, aby zaraportować:

– Gotowe do rzucenia kotwicy.

Na co porucznik odpowiedział skinieniem głowy. Kiedy tak stał na pokładzie kasztelu rufowego, sylwetka jego prężyła się dumnie, choć nie był ani bardzo wysoki, ani barczysty, a jego białe, gładkie policzki i długie, bardzo czarne włosy podobne były do policzków i włosów dziewczyny. Ale ostre i przenikliwe spojrzenie zawsze pełnych ognia oczu, odbierało całą słodycz tej młodej twarzy o czystych rysach.

Nieco później, gdy „Piękna Łasica” minęła wschodni cypel portu, Tomasz Trublet przyłączył się do swojego porucznika na kasztelu rufowym. Stojąc tak obok siebie wyglądali jeden jak wątłe dziecko, drugi jak tęgi i silny wojownik. W rzeczywistości jeden nie był mniej groźny od drugiego i chłopcy z wachty, wszyscy bardzo posłuszni i niemal bojaźliwi, wobec obydwóch czuli ten sam respekt.

– Wkrótce rzucimy kotwicę, każ sondować.

– Do sondy! – rozkazał Ludwik Guénolé.

Marynarz wyciągnął dwanaście sążni linki i wyśpiewał:

– Nie ma dna!

– Nie szkodzi – rzekł Trublet. – Niedaleko stąd stoi brygantyna na kotwicy. Podejdziemy jeszcze trochę.

– Brasować na wiatr! Wolno, oddawać ster!

Fregata posłusznie zbliżyła się do lądu. Żagle zaczęły zwisać. A marynarz, sondując dalej, wyśpiewał tym razem:

– Dno! dziesięć sążni z lewej burty, dziesięć sążni!

– Przygotować dwie kotwice! – zakomenderował Tomasz Trublet. I zwracając się do porucznika, powiedział:

– Idź na bak, chcę natychmiast rzucić kotwicę.

Według zwyczajów marynarskich drugi oficer musi się znajdować na dziobie okrętu w chwili, kiedy rzucają kotwicę. A ten moment nadszedł.

Tomasz patrzył uważnie na żagle. Fregata miała jeszcze nie zwinięte marsle na fokmaszcie i grotmaszcie oraz sterżagiel, lecz szła już wolniej. Trublet, splunawszy na wodę, aby lepiej sprawdzić prędkość, zdecydował:

– Zwinąć wszystkie żagle! – zawołał.

Chłopcy znowu się pośpieszyli. Na pokładzie z jasnego sosnowego drzewa zatętniły bosc nogi.

– Tak jest! Zwijać żagle!

Trzy żagle złożyły się równocześnie jak trzy pary skrzydeł.

– Przebrasować reje!

Kiedy rozkaz został wykonany, Tomasz z zadowoleniem spoglądał na pozbawione żagli maszty, potem natężył głos, aby być lepiej słyszany przez kanonierów, zgromadzonych wokół liny kotwicznej na dziobie:

– Gotowe do rzucenia kotwicy? Rzucić kotwicę na dziobie! Na co kotwica zanurzyła się wśród plusku rozpryskującej się wody.

Chwilę potem Tomasz usłyszał wołanie marynarza:

– Kapitanie! Hej! Kapitanie! Tamta brygantyna wysłała szalupę, chyba do nas.

II

– Ahoj! Na szalupie!

Marynarz z krótką piką w garści skierował ten okrzyk do zbliżającej się szalupy. Z szalupy – długiej łodzi o czterech wiosłach – nikt nie odpowiedział, lecz ktoś się podniósł i na dowód pokojowych zamiarów zamachał skórzany kapeluszem, którego wstążki powiewały na wietrze.

Szalupa dobiła już do burty fregaty. Człowiek, który machał kapeluszem, począł wołać:

– Hallo!... Spuście trap!

Głos, bardzo ochryply, brzmiał z cudzoziemska. Załoga, jeszcze na stanowiskach koło kotwic, spojrzała na kapitana, stojącego na schodniach kasztelu rufowego. Tomasz Trublet dał zezwalający znak głową i podczas gdy chłopcy, skorzy do spełniania rozkazów, spuszczały trap, sam zszedł na dolny pokład i zatrzymał się przy burcie, aby przywitać człowieka z szalupy. Ten, uchwyciwszy się liny, wdrapał się po trapie zwinnie jak małpa. W chwili, gdy zeskakiwał na pokład, Tomasz zbliżył się i wyciągnął prawą rękę, nie zaniechawszy jednak trzymać lewej na rękojeści jednego z pistoletów, które miał za pasem.

– Hallo! – zawołał przybysz.

On także miał za pasem dwa pistolety. Jak zwyczaj nakazuje, wyjął je i ofiarował Tomaszowi Trubletowi na znak przyjaźni czy przymierza;

– Hallo! – powtórzył.

Po czym zapoznano się bliżej.